O szkarlatynie i występach trupy pana Michalskiego w Ostrowi, o skąpstwie Kurpiów, a także o pieniądzach z Ameryki i tragicznej śmierci lotnika w Wąsewie

Wstępem, przypisami i ilustracjami opatrzył Jerzy Madzelan.
Ilustracja wyróżniająca opracowanie: Porucznik pilot Szczepan Głosek[1].

W Ostrowi szaleje epidemia szkarlatyny, co jest tym bardziej uciążliwe, że w mieście nie ma szpitala. Z pomocą pospieszyli aktorzy, którzy zadeklarowali, że dochód z przedstawień przekażą na fundusz urządzony w celu budowy szpitala, a choćby i szpitalika z kilkoma ledwie łóżkami.

Pan Dominik raz jeszcze pogłębia naszą – jakże już obszerną – wiedzę o Kurpiach. Dzisiaj o ich chorobliwym skąpstwie, od którego Kurpie czynią wyjątki, gdy chodzi o kupno piwa lub tytuniu, Kurpianki zaś, gdy sobie jakąś kieckę upatrzą.

Po przejściu frontu w lecie 1915 r. wiele rodzin z różnych powodów zmieniło miejsce zamieszkania. Rodziny zza oceanu, pomimo iż chętne do wspomożenia swych bliskich dolarami, nie mogą tego uczynić z powodu braku aktualnego adresu pozostałej na ziemiach polskich rodziny. Okazuje się, że najsprawniej działającą organizacją polonijną jest nowojorski komitet syjonistyczny i to tam udają się katoliccy rodacy po pomoc w ustaleniu miejsca zameldowania najbliższych. Jeżeli ktoś zauważy swoje imię i nazwisko w zamieszczonej notce prasowej, a liczyłby na wspomożenie walutą nieco bardziej odporną na wstrząsy od rodzimej, to proszony jest o kontakt listowny z instytucją rezydującą pod niniejszym adresem: Biuro Syjonistyczne, ul. Marszałkowska 151, Warszawa.

Z Wąsewa donoszą o tragicznej śmierci porucznika Szczepana Głoska[2], pilota 142 Eskadry Myśliwskiej. Przyczyną śmierci była miłość, choć osoby nieco mniej romantyczne mogą uznać, że pewną rolę w tragedii odegrała brawura. Podług cytowanej tu relacji dzielny pilot chciał powiadomić swą narzeczoną, nauczycielkę Szkoły Powszechnej w Wąsewie o uzyskaniu od dowództwa pozwolenia na małżeństwo. Z przeprowadzonego wywiadu wynika, że ową nieszczęsną narzeczoną była Janina Karwowska, absolwentka Seminarium Nauczycielskiego Żeńskiego w Łomży. Są też tacy, co twierdzą, że zrzuconej epistole towarzyszył bukiet róż.

Kącik, w którym udzielamy rad wszelakich, ulepszamy świat i chronimy ludzkość przed niechybną zagładą, ma dzisiaj charakter interwencyjny, chodzi bowiem o ratowanie zdrowia, a nawet i życia człowieka. Jak szanownej publiczności wiadomo, pomagaliśmy ostatnio panu Kazimierzowi w zakupie dobrej książki, a następnie w stworzeniu profesjonalnego i miłego dla oka księgozbioru. Otrzymaliśmy od naszego czytelnika list nowy, w którym chwali się zakupionym dziełem literackim oraz dzieli się radosną nowiną, iż ma już zadatkowany obszerny księgozbiór po pewnym śp. profesorze medycyny.

Z każdym kolejnym akapitem listu, uśmiech na naszych twarzach przemieniał się jednak w grymas strachu. Oto bowiem zwierza się nasz bibliofil, iż zamierza nie tylko zajrzeć do książek,

[1] Jerzy Pawlak, *Polskie eskadry w latach 1918-1939*, Warszawa 1989, s. 282.
[2] Szczepan Głosek, syn Stanisława i Anny z Nerków, przyszedł na świat 3 sierpnia 1902 r. w wiosce Bagatele parafia Wąsewo.

ale nawet kilka przeczytać. Panie Kazimierzu, chyba się pogniewamy. Czy nasze porady poszły na marne? Czy rzucamy grochem o ścianę? Wykazaliśmy przecież dobitnie, że czytanie jest przereklamowanym snobizmem, nikomu i niczemu nie służy, a zresztą nie bójmy się wprost tego napisać, a nawet wykrzyczeć – CZYTANIE SZKODZI! Jeśli zaś chodzi o księgi po profesorze medycyny, to pod żadnym, ale to absolutnie żadnym pozorem nie wolno do nich zaglądać! Jak Pan wie, studia medyczne są wyjątkowo długie, a to z tej przyczyny, iż pierwsze trzy lata służą zapoznaniu studentów z niebezpieczeństwami związanymi z zagłębianiem się w literaturę medyczną. Setki tomów zajęłoby opisanie przypadków, gdy jakiś laik postanowił poznać drogą czytelnictwa tajniki medycyny, co dla lekkomyślnego śmiałka kończyło się zawsze tragicznie. Powie Pan:

– A co tam, przerzucę kilka kartek, pooglądam obrazki, a zresztą czasu nie mam za dużo, bo zaraz będzie obiad.

Niech Pan się pożegna nie tylko z obiadem, podwieczorkiem, kolacją, ale i ze śniadaniem dnia następnego, a może nawet z wszelkimi posiłkami. Po przewróceniu pierwszej karki chwyci Pana w swe sidła demon i nie pozwoli już księgi zamknąć. Zacznie Pan studiować choroby i nic nie powstrzyma pańskiej szacownej osoby od kontynuowania lektury. Siła perswazji jest niesłychana. Najpierw rozpozna Pan u siebie początkowe symptomy każdej nowo poznanej choroby, ale z pewnością zbagatelizuje Pan te ostrzeżenia. Choróbsko rozwinie się, pojawią się ciężkie komplikacje, a studiowanie przypadłości zakończy Pan w stanie terminalnym. Niewiele osób zastanawia się, czemu katalog chorób otwiera między innymi „Afazja". Otóż afazja atakuje mózg i prowadzi do zaburzeń mowy. Taka jest smutna prawda Panie Kazimierzu – już po zapoznaniu się z jedną z pierwszych chorób, nie będzie Pan w stanie poprosić nikogo o pomoc.

Będzie Pan czytał dalej, objawy pierwszej z chorób nieco ustąpią, ale tylko po to, by zrobić miejsce dla następnej, a każda pozostawi rujnujący ślad w organizmie. Efekt lektury jest jednakowo tragiczny, czy jest Pan człowiekiem ułożonym, pedantycznym i studiuje księgę od litery A po Z czy też bałaganiarzem otwierającym książkę na przypadkowych stronach. Zapadnie Pan na choróbska dziedziczne, choćby nikt z pańskich przodków na nie cierpiał. Dosięgną Pana dopusty Boże w postaci chorób występujących jedynie w egzotycznych krajach, w których mało, że Pan nie bywał, to nawet o nich nie słyszał. Nie ma ratunku, przejdzie Pan wszystkie choroby wieku dziecięcego i pozna różne dolegliwości trapiące kobiety.

Ciekawy jest przypadek niejakiego Petera Branthwaite`a z miejscowości Poulton-le-Fylde koło angielskiego kurortu Blackpool. Dżentelmen ten, właściciel dochodowej gospody był znanym miłośnikiem zwierząt. Niestety, lokalny weterynarz był człekiem trunkowym, a po spożyciu nawykłym do wszczynania awantur. Pewnego dnia mocno przesadził, a Branthwaite musiał go ze swego przybytku wyprosić, czego ów weterynarz nigdy mu nie wybaczył. Gastronomik nie miał już po co do gabinetu czupurnego doktora zaglądać. Wyprawy z kotami, psami i koniem do weterynarza w Blackpool były zbyt kłopotliwe, sprowadzanie zaś stamtąd zwierzęcego lekarza boleśnie kosztowne. Udał się więc Mr. Peter do miasta Liverpool, by w tamtejszej uniwersyteckiej książnicy przestudiować dzieła poświęcone chorobom zwierzęcym i metodom ich leczenia, a tym samym uniezależnić się od usług weterynarzy zarówno tych pogrążonych w nałogu, jak i tych praktykujących w miejscach odległych. Pomysłowego właściciela gospody odnaleziono martwego z twarzą leżącą na stronie z chorobami na literę C. Proszę sobie wyobrazić, że późniejsza autopsja wykazała u nieboraka ślady wszystkich chorób zwierzęcych,

których nazwy zaczynały się od liter A, B, C, włącznie z ptasimi, gadzimi, a także tymi ograniczonymi do gatunków endemicznych, występujących na przykład jedynie na Wyspach Salomona. Mało tego. Lekarze z przerażeniem odkryli, iż przeróżne paskudztwa stanowiące zaczątki dziesiątek jednostek chorobowych, zmutowały w ciele przedsiębiorcy z Poulton-le-Fylde, tworząc związki nieznane nauce, a zagrażające światowemu pogłowiu trzody chlewnej i drobiu. Zwłoki nieszczęsnego Petera poddano natychmiastowej kremacji, by uniknąć światowego pomoru, a w konsekwencji klęski głodu. Niestety, nie wiemy, co stało się z jego menażerią, ale miejmy nadzieję, że znalazła przyjazny dom.

Wniosek jest następujący. Jeżeli zdoła Pan, jakimś cudem oderwać się od lektury i ocalić życie, to skończy Pan jako bezwłosy, pokryty liszajami, głuchy, niedowidzący, sparaliżowany starzec z objawami ciąży. Naszym zadaniem nie jest jednak biadolenie, ale dopomaganie. Jeżeli nie może Pan się powstrzymać od czytania, to widzimy dwie drogi ratunku.

W pierwszym przypadku proszę sięgnąć po tom ostatni i otworzyć księgę na stronie wieńczącej dzieło. Zapadnie Pan wprawdzie na żółtaczkę, ale choć to choroba ciężka, to właściwie leczona, nie kończy doczesnej wędrówki. Zaraz po żółtaczce natrafi Pan na ciężką (szczególnie dla złożonego chorobą człowieka) okładkę. Istnieje realna szansa, że nie starczy Panu sił na kartkowanie książki w kierunku odwrotnym do przyjętego w większości kultur, a tym bardziej na sięgnięcie po tom następny.

Jest jeszcze jedno wyjście. Zanim zajrzy Pan do swych własnych książek, proszę udać się do biblioteki działającej przy uczelni medycznej. Tamtejszy personel jest przeszkolony w pomocy osobom, które uległy syndromowi lektur medycznych. To dla nich codzienność, że przy zepsutej klimatyzacji i upale sięgającym trzydziestu stopni, ktoś nagle doznaje odmrożenia kończyn, inny zaś pada rażony udarem słonecznym w ciemnym i zimnym bibliotecznym kącie. Nie widzą nic niezwykłego w człowieku, który natrafiwszy na literę T, zaczyna wykrzykiwać najpaskudniejsze przekleństwa. Nie jest też dla nich nowością obywatel, który, choć mieszka w miejscu pełnym zieleni, a pracę ma przyjemną i mało wyczerpującą, to nagle zanosi się kaszlem i ledwo dycha, niczym nie przymierzając górnik, po trzydziestu latach spędzonych pod ziemią, a to wszystko tylko dlatego, że lekturę rozpoczął od litery P.

Mamy nadzieję, że oszczędziliśmy Panu cierpień, a może nawet uratowaliśmy życie. Niewykluczone, że pomogliśmy i innym osobom.

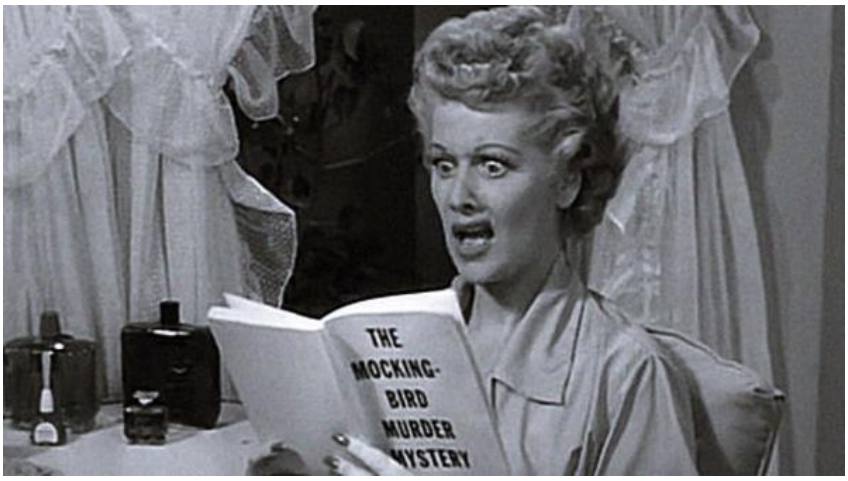

Przerażenie, udar mózgu, zgon – przykład fatalnych skutków czytania.
Źródło: *What are the bad effects of reading an interesting book?* – na portalu *quora.com*.

[„Echa Płockie i Łomżyńskie” nr 97 z 6 grudnia 1899 r.]

Z Ostrowi. W mieście naszem już od miesiąca zostały przerwane zajęcia w szkołach elementarnych miejskich z powodu grasującej szkarlatyny. W zeszłym tygodniu było jeszcze około 40 chorych, a wypadków śmierci było dotychczas 11.

Przez całą jesień bawi u nas trupa p. Michalskiego. Przedstawienia odbywają się co drugi dzień: kilka przedstawień ludowych, danych z inicjatywy członków kuratorium trzeźwości miało szczególne powodzenie, sala była zapełniona publicznością.

Na przedstawienia te składały się jednoaktówki Korzeniowskiego, Fredry, Blizińskiego i inne, śpiewy ludowe i tańce urozmaicały scenę. D. 26-go listopada odbyło się przedstawienie na cel dobroczynny, a mianowicie na powiększenie funduszu miejscowego Tow. Dobroczynności, które zamierza otworzyć z początkiem roku następnego szpitalik na cztery łóżka dla potrzebujących pomocy natychmiastowej.

Daje się nam we znaki błotnista jesień: wieczorem niepodobna wyruszyć z domu z powodu ciemności. Głowna ulica otrzymała co prawda nowe latarnie, ale boczne nie są oświetlane, a że tam jest największe błoto, przeto trzeba albo utonąć, albo narażać się na rozbicie głowy o stojące drzewa lub parkany; ale jest nadzieja, że wkrótce będzie lepiej i że te ulice otrzymają nowe latarnie.

D.

[„Echa Płockie i Łomżyńskie” nr 3 z 10 stycznia 1903 r.]

MORALNOŚĆ I UMORALNIENIE KURPIÓW

(Dalszy ciąg)

O ile Kurpie leniwią się w pracy i mogliby znacznie lepiej zarabiać, o tyle znowuż nadrabiają twardą oszczędnością, jaką się odznaczają. Potrzeby ich są nadzwyczaj ograniczone i w ogóle znacznie mniejsze niż ludu wiejskiego w innych okolicach. Kobiety tylko nie żałują sobie na stroje puszczańskie i każda z nich ma niezliczoną ilość niższych spódnic, „korsetów”, fartuszków i chusteczek, mężczyźni wszyscy bez wyjątku palą fajeczki, zresztą z tytuniu w gatunku najlichszym i piją piwo, do którego od wieków się przyzwyczaili, wyrabiając je dawniej z jałowca. To też piwo tak się rozpowszechniło, że nawet weszło do obrzędów ludowych. Mianowicie kawaler, udając się na oświadczyny – zabiera z sobą antałek piwa – no, i naturalnie nieodłączną od wszelkich obrzędów kurpiowskich muzykę. Zjeżdżają hucznie przed chatę, do której niby to nie wpuszczają ich gospodarze, przekomarzając się przy drzwiach i oknach, a tymczasem w chacie uprzątają, a ze wsi zbiegają się dziewczyny. Dopiero gdy izba uprzątnięta i dziewczyn zebrało się więcej, wpadają Kurpie niby to przemocą, bo opór słabnie, do chaty i dalejże w tany kto na drodze.

Otóż podczas tej ochoty, kawaler sam nalewa piwo w szklankę i podaje je dziewczynie i taki poczęstunek właśnie jest jego oświadczynami. Jeśli panna piwo wypije, to znaczy, że kawalera przyjęła, nieprzyjęcie zaś szklanki oznacza odmowę i wówczas tańcują w dalszym ciągu i –

jadą dalej. Naturalnie, że piękny ten zwyczaj puszczański, obecnie utracił pierwotne swe znaczenie i pozostał li tylko zabawą, gdyż nie w każdej chacie kawaler posagu się spodziewa i nie każdy kawaler jakie takie „miejsce” zabezpiecza. Uprzednio więc ojce i rajce, ba i sam kawaler, doskonale się wywiedzą i omówią – ile panna rublów dostanie i jakie kawaler „miejsce” otrzyma a od tego zależy głównie rezultat zrękowin, a nie od wypicia szklanki piwa przez dziewczynę.

Piwo jest w użyciu powszechnym na Puszczy i to tylko prawie wyłącznie podczas różnych obrzędów lub zabaw, jak np. w zapusty, piją je też na jarmarkach, w święta po kościele itp. W życiu codziennym Kurpie żadnych napojów nie używają i w ogóle są bardzo trzeźwi, gdyż wódki nie piją wcale, z wyjątkiem tych wiosek, w których są karczmy, zgromadzające różnych „stałych gości”, rekrutujących się najczęściej z młodzieży i innych różnych „bywalców”. Co prawda i pod tym względem demoralizacja szerzy się coraz więcej, lecz tylko między pokoleniem młodszym, które ją przynosi z różnych wycieczek na zarobki, a głównie z Ameryki i rozszerza za pomocą istniejących karczem.

Ubiory kobiet, lichy tytuń i piwo – to są dotychczas główne zbytki, na które Kurpie sobie pozwalają. Poza tym odznaczają się kamienną oszczędnością. Najzamożniejszy gospodarz, posiadający doskonałe konie, które mu stoją po ukończeniu robót w polu nieraz po parę miesięcy w domu, do najodleglejszych miast, jak np. Mławy, Płocka czy Łomży, idzie pieszo na sądy lub w innym jakim interesie, bo żal mu koni.

Zwłaszcza na gotówkę Kurpie są bardzo chciwi i skąpi, gdyż w ogóle przypływ gotówki na Puszczę, zwłaszcza podczas mokrych lat, kiedy nie mają siana na sprzedaż – jest wielce ograniczony. Opowiadał mi na przykład komisarz sądowy z Przasnysza, że raz Kurp umyślnie o 35 wiorst przyszedł do niego po grosz, literalnie po ½ kopiejki, jakiej na razie nie miał mu wydać. – „Bo to proszę Pana w domu grosza nie wysiedzę, a w drodze butów nie podrę, bo przyszedłem boso, co miałem zjeść w domu, to zjadłem w drodze, bo miałem z sobą kartofle w torebce i upiekłem je po drodze, a grosz groszem”.

Na jedną tylko rzecz Kurpie nie żałują pieniędzy, to na cele religijne – jak już mówiłem. Na tacę np. w kościele, na światło lub inną jaką potrzebę kościoła dają wprawdzie nie wiele, bo zaledwie po dwa grosze, ale da z nich prawie każdy i prawie zawsze.

Zdaje mi się, że dla uzupełnienia całości obrazu moralności Kurpiów, pozostaje mi tylko opowiedzieć o tych oznakach ich charakteru i usposobienia, co do których są oni właściwie najniemoralniejsi, mianowicie o wielkiej ich rozwiązłości płciowej, o której już wspominałem.

Nie będę się zastanawiał, czy pod tym względem Kurpie są jeszcze nie moralniejsi, czy już zdemoralizowani, jednakże zdaje mi się, że po trosze jedno i drugie.

(C. d. n.)

Dominik Staszewski

[„Zorza” nr 12 z 24 marca 1917 r.]

WIEŚCI OD WYCHODŹCÓW AMERYKAŃSKICH

Wielu wychodźców z Królestwa Polskiego mieszkających obecnie w Ameryce, nie może przesyłać pieniędzy krewnym swoim pozostałym w domu, w Królestwie i na Litwie, ponieważ nie zna ich dokładnych adresów. Niektórzy z tych wychodźców Polaków starają się zasięgnąć wiadomości o swoich rodzinach w Polsce przez komitet syjonistyczny w Nowym Jorku. Komitet ten przesłał do Warszawy, do biura syjonistycznego spis osób, o które zapytują Polacy, przebywający w Ameryce. Nazwiska ich podajemy poniżej. Kto więc w tym spisie wyczyta swoje imię i nazwisko, niech napisze do Warszawy, ul. Marszałkowska 151, do „Biura Syjonistycznego” z wiadomością o sobie. Wiadomość ta będzie przesłana jego krewnym w Ameryce.

Oto spis tych osób, o które zapytują wychodźcy przebywający w Ameryce:

Stanisław i Maryanna Borkowscy, Bolesław, Maryanna, Julianna i Dorota Borkowscy, Franciszka albo Franciszek Romaciuk, Łomża; Franciszek i Adolfa Kacorzyk, wieś Jelonki, gm. Drozdowo, pow. ostrowski, gub. łomżyńska; Antoni i Julianna Jaworscy i Rozalia, osada Brok, pow. ostrowski, gub. łomżyńska; Józef i Władysław Albrys, Myszyniec, pow. ostrołęcki, gub. łomżyńska;

[„Gazeta Świąteczna” nr 47 (2755) z 19 listopada 1933 r.]

Rozbił się we wsi rodzinnej. Lotnik Szczepan Głosek, porucznik 4-go pułku lotników, lecąc samolotem dnia 3-go października z Torunia w stronę Warszawy, zboczył nieco z drogi do swej wsi rodzinnej Wąsewa pod Ostrowią Mazowiecką. Przy tej sposobności zrzucił list do narzeczonej, nauczycielki szkoły powszechnej w Wąsewie. Dopiero co właśnie otrzymał był pozwolenie na zawarcie z nią związku małżeńskiego. Drugi list miał dla rodziny swojej, mieszkającej o 2 kilometry dalej. Krążąc nad wsią, wywinął w powietrzu dwa koziołki, ale za trzecim razem silnik naraz przestał działać, samolot przechylił się na lewe skrzydło i począł gwałtownie opadać. Na połowie wysokości motor wydał dwa ostatnie wybuchy, samolot zatoczył półkole i znowu opadał podobnie jak przedtem. Widocznie lotnik starał się ratować swój samolot, lecz silny wiatr uniemożliwiał kierowanie. Jeszcze raz samolot drgnął chwilkę w dobrym kierunku, lecz naraz przechylił się i runął dziobem na ziemię, łamiąc prawem skrzydłem dach chlewka. Samolot był cały metalowy. Strzaskany kadłub przygniótł lotnika do maszynerji, i opadł na ziemię z hukiem. Gdy przybyli pierwsi ludzie, lotnik jeszcze dwa razy oczy otworzył. Zanim wydobyto go z samolotu, przeszło z 15 minut, gdyż połamane części utrudniały dostęp, a strzaskane podwozie i inne części przygniotły i powłaziły w nogi. Wreszcie martwego, zlanego benzyną i smarami, położono na podwórku, gdzie zaraz miejscowy ks. proboszcz udzielił jeszcze Ostatniego Namaszczenia. Lekarz powiatowy przybył w godzinę i stwierdził śmierć. Dnia 5-go października odbył się we wsi pogrzeb „naszego lotnika”. Przybył oddział wojska z muzyką, ks. kapelan ze szkoły podchorążych z Ostrowi Mazowieckiej i ludu

wiele aż z sąsiednich parafij. Po żałobnem nabożeństwie za duszę zmarłego – sześciu oficerów lotników zanieśli swego towarzysza na miejsce wiecznego spoczynku. Smutny był to dzień dla tych, co go znali, którzy go nieraz prosili, żeby był ostrożniejszy. Dziś nie ma już naszego „Głoska”. Wieczny pokój racz mu dać, Panie!

Sąsiad P-k.

PZL P-7 z godłem 142 Eskadry Myśliwskiej. Eskadra rozpoczęła przezbrajanie na ten typ samolotu w drugiej połowie września 1934. Na początku października piloci nie znali jeszcze dobrze tych maszyn. Śmiertelne wypadki w przedwojennym lotnictwie wojskowym były codziennością. Porucznik Szczepan Głosek był szóstym pilotem 142 eskadry, który poniósł śmierć od 1 stycznia 1929 r.[3]
Źródło fotografii: portal aukcyjny *allegro.pl*.

[3] Jerzy Pawlak, *Polskie eskadry w latach 1918-1939*, Warszawa 1989, s. 279-283.